



Prolog

Epidemia kartonów
z mlekiem





Jesteś jedzeniem. Mięśnie, które napinasz, by chodzić, podnosić, mówić? To płaty mięsa pokryte twardszymi ścięgnami. Skóra, której tyle uwagi poświęcasz przed lustrem? To dla wyrobionego podniebienia smakowita zapiekanka o mięsny smaku. A kości, które dają ci siłę do przemierzania świata? Grzechoczą między zębami, kiedy wysysany szpik ścieka do zaślinionych gardeł. Ta wiedza jest nieprzyjemna, ale użyteczna. Istnieją bowiem stwory, które nie kulą się w jamach, by dać się nam złapać i upiec nad naszymi ogniskami. Mają swoje sposoby chwytania zdobyczy, swoje ognie, swoje apetyty.

Jack Sturges i jego młodszy brat Jim nie mieli o tym pojęcia, kiedy pędzili na rowerach suchym korytem kanału w rodzinnym mieście San Bernardino, w Kalifornii. Był 21 września 1969 roku, piękny dzień minionej epoki – zmierzchające światło dnia przelewało się nad Mount Sloughnise na wschodnią część miasta. Chłopcy słyszeli brzęczenie kosiarek do trawy w pobliskich uliczkach,

czuli zapach chloru z basenu, smakowali dym przypiekanych hamburgerów z czyjegóż ogródkowego grilla.

Wysokie ściany kanału ukrywały ich i gwarantowały perfekcyjną osłonę dla ich strzelaniny. Tego popołudnia, jak zwykle, mierzyli się Victor Power (Jack) z Doctorem X (Jim). Chłopcy okrążali stopy gruzu, by strzelać do siebie z plastikowych blasterów. Victor Power wygrywał jak zwykle, choć tym razem zdecydowanie, dzięki nowemu rowerowi: wiśniowemu sportcrestowi tak nowemu, że jeszcze z przyczepionymi tu i tam urodzinowymi wstążkami. Jack skończył tego dnia trzynaście lat, ale prowadził swój prezent, jakby jeździł na rowerze przez całe życie. Wchodził w samobójcze wiraże przez gęste zielsko, czasem puszczając kierownicę, żeby oddać szczególnie dobry strzał.

– Nigdy nie dostaniesz mnie żywego! – krzyknął Victor Power.

– Dostanę! – wysapał Doctor X. – Za chwilę... czekaj... hej, Jack, zaczekaj!

Jim – albo Jimbo, jak nazywał go brat – pchnął grube szkła okularów, pękniętych, ale sklejonych plastrem, w górę spoconego nosa. Miał osiem lat i był drobny jak na swój wiek. Co gorsza, jego odrapany żółty schwinn nie tylko nie dorównywał sportcrestowi, ale był tak wielki, że chłopiec musiał nadal używać dodatkowych bocznych kółek. Tato przyrzekł Jimowi, że dorośnie do roweru, a Jim wciąż czekał, aż to nastąpi. Tymczasem musiał stawać na pedałach, żeby naprawdę się rozpędzić, co

bardzo utrudniało celne strzały z blastera. Doctor X był skazany na porażkę.

Sportcrest przebił się przez kupkę śmieci. Jim wjechał w nią chwilę później z piskiem bocznych kółek, ale kiedy zobaczył zgnieciony karton po mleku, skręcił, by go wyminąć. Na boku pudełka wydrukowano uśmiechniętą twarz małej dziewczynki i słowa: ZAGINĘŁO DZIECKO. Ten obraz przyprawił Jima o dreszcze. W ten sposób informowano o poszukiwaniach zaginionych dzieci, a było ich wiele.

Rok temu zniknęło pierwsze. San Bernardino zorganizowało grupy poszukiwawcze i zespoły ratownicze. Potem coś się stało z następnym. I następnym. Przez pewien czas miasteczko usiłowało szukać każdego z nich. Ale już wkrótce jakieś dziecko zniknęło co drugi dzień i dorośli nie nadążali. Dla Jima najbardziej przerażające było, kiedy widział rezygnację na twarzach rodziców, którzy nie spali po nocach. Poddali się temu złu, które zabierało im dzieci, i kiedy rankiem przy śniadaniu nalewali mleka, starali się ignorować twarze na bocznych ściankach kartonów, pod strasznymi słowami:

CZY KTOŚ MNIE WIDZIAŁ?

Kiedy Jim ostatnio o tym słyszał, zaginionych dzieci było sto dziewięćdziesięcioro. Ta liczba wydawała się całkiem abstrakcyjna, ale wszędzie widział dowody: wyższe ogrodzenie dookoła szkoły, większe grupy rodziców

patrolujące place zabaw, ostrzejsze traktowanie przez policję dzieci przebywających na ulicach po zmroku. Tylko wyjątkowo Jim i Jack dostali pozwolenie, by wyjść na rowery tak blisko wieczoru – były urodziny Jacka i rodzice nie potrafili odmówić.

Jack nie marnował ani chwili i natychmiast udoskonalił nowy rower: zabrał swoje radio tranzystorowe i drutem przymocował je do błyszczącej czerwonej kierownicy. Potem nastawił je jak najgłośniej i całe popołudnie toczyło się w rytm najbardziej energetycznych piosenek tego czasu: *Sugar, Sugar, Hot Fun in the Summertime, Proud Mary*. Trudno sobie wyobrazić, że mogłyby tworzyć odpowiednie tło muzyczne dla laserowych serii Victora Powera i Doctora X, ale okazały się idealne. O ile tylko Jim nie zaczynał myśleć o tych kartonach po mleku, były to najszczęśliwsze godziny jego życia.

Z przodu, na rowerze Jacka, radio zaczęło grać nową piosenkę, *What's Your Name* Dona i Juana. Piosenka była miłosa i nie należała do Jima ulubionych, ale z jakiegoś powodu melancholijne głosy przechwytywały nastrój mijającego dnia. Słońce opadało szybko, nazajutrz znów zaczynała się szkoła, i te ostatnie pół mili jazdy mogło się okazać pożegnalnym rozbłyskiem lata, zanim jesienne lekcje zdmuchną je jak świecę.

Mrużąc oczy, Jim spojrzał pod słońce. Dostrzegał brata pedałuującego tak szybko, że ptaki odfruwaly mu z drogi, by nie wylądować, dopóki nie odlecą na zimę w stronę południa. Jack pokrzykiwał z radości, a zeschłe liście

tańczyły w podmuchu pędzącego sportcresta. Za kilka sekund miał przejechać pod Holland Transit Bridge, monolitem z betonu i stali. Kilka samochodów przejeżdżało po nim w górze, ale poniżej zalegały cienie tak głębokie i ciemne, że aż oczy bolały.

Jim musiał dogonić brata. Kiedy wrócił do domu, chciał, by zjawili się tam jako równi, jako Jack i Jim Sturgesowie, zamiast wiecznego zwycięzcy i przegranego, Victora Powera i Doctora X. Stał na pedałach i naciskał je z całej siły. Boczne kółka protestowały – *PIIP, PIIP, PIIP!* – ale przebierał nogami, pragnąc, by stały się dłuższe i silniejsze.

A kiedy spojrział znowu, Jacka nie było.

Jim widział leżący pod mostem sportcrest oświetlony zachodzącym słońcem, z wygiętą kierownicą i wciąż obracającym się przednim kołem. Zbliżał się szybko i Jim gwałtownie zahamował, a jego schwinn zatrzymał się z poślizgiem o metr od cienia mostu. Chłopiec usiadł na rurce i sapał, wypatrując brata w najczarniejszych zakątkach.

– Jack!

Przednie koło sportcresta wirowało, jakby duch chłopca nadal pedałowal.

– Wyłaż, Jack! Nie wygłupiaj się! Nie przestraszysz mnie.

Odpowiedzieli mu tylko Don i Juan. Echa zmieniały słodką melodię w groźne zawodzenie.

Stałem na rogu / i czekałem na ciebie, / a moje serce czuło / rado-o-o-ość...

Z głuchymi stuknięciami jedna po drugiej zapalały się latarnie obok Jima, wypełniając kanał żółtym sodowym lśnieniem. A to znaczyło, że zapada noc i nie ma już czasu na żarty.

– Jeśli zaraz nie wrócimy do domu, tato uziemi nas na parę tygodni! Jack?!

Jim przelknął ślinę, mocniej ścisnął w spoczonej dłoni swój miotacz i poprowadził rower naprzód, aż znalazł się w mroku pod mostem. Było tu o dziesięć stopni chłodniej i chłopiec zadrżał. Boczne kółka obracały się już wolniej, ale nadal skrzypiały: *PIIP, PIIP, PIIP*.

Podszedł do sportcresta. Przednie koło zaczynało już zwalniać i Jim nagle doznał wrażenia, że to koło jest sercem Jacka, że kiedy się zatrzyma, brat zniknie na zawsze.

Spojrzał w niezgłębione cienie. Ignorując kapiącą wodę, skrobanie, które mogło oznaczać szczury, szum samochodowych opon nad głową i śmiertelne zawrozczenie Dona i Juana, podniósł głos.

– Jack! Skończ już! Coś ci się stało? Jack, mówię poważnie!

Skulił się, słysząc, jak jego słowa wracają odbite od ścian. Żółte światła latarni, fioletowe niebo, wilgoć, drwiące echa paniki – jak to było możliwe, że piękny sen tak szybko zamienił się w koszmar? Jim obracał się, zaglądnąwszy w jeden cień po drugim, szybciej i szybciej, z piersią wstrząsaną szlochem, policzkami płonącymi ze strachu...

I wtedy pomyślał o jeszcze jednym kierunku, którego dotąd nie sprawdził.

Powoli wyciągnął szyję, żeby popatrzeć w górę, na dolną powierzchnię mostu.

Zalegała tam czerń. Nic prócz czerni.

Ale potem ta czerń się poruszyła.

Działo się to naturalnie, niemal z gracją. Wielkie i potężne łapy oddzieliły się od betonu, poprawiając chwyt. Coś rozmiarów głazu – głowa – odwróciło się powoli, aż Jim zobaczył ślepia rozjarzone na pomarańczowo, jak ogień. Stwór odetchnął i chłopiec miał wrażenie, że zafalował cały spód mostu. Potem wypuścił powietrze i cuchnący podmuch pchnął Jima do tyłu.

To coś puściło się i zeskoczyło. Ziemia zadrżała, a śmieci wleciały w powietrze – w wirze odpadków Jim dostrzegł kartony po mleku, dwa, trzy, cztery, pięć kartonów. Kręciły się i podskakiwały, a uśmiechy dzieci drwiły z ich własnej śmierci. Stwór stanął na tylnych łapach, jak grizzly, a światło latarni odbiło się od pary rogów ryjących beton w górze. Otworzyła się paszcza pełna wielkich, krzywych zębów. Pomarańczowe ślepia wbiły spojrzenie w Jima. Łapy – wielkie, umięśnione pytony pod skołtunioną sierścią – wyciągnęły się ku chłopcu.

Jim wrzasnął. W tunelu pod mostem dźwięk wydawał się dziesięć razy głośniejszy i stwór znieruchomiał na sekundę. W tej sekundzie Jim wskoczył na schwinna i odepchnął się od ziemi. Lewy but zahaczył o radio Jacka, raz na zawsze uciszając Dona i Juana, a potem Jim wyjechał

spod Holland Transit Bridge, wciąż krzycząc i z całej siły kręcąc pedałami.

Za sobą słyszał galop wielkiego stwora ścigającego go na czworakach, jak goryl.

Skomląc ze zgrozy, Jim naciskał na pedały mocniej niż kiedykolwiek w życiu. Zgrzytanie bocznych kółek zmieniło się w ciągły wizg, a mimo to potwór go doganiał. Ziemia drżała przy każdym uderzeniu monstrualnych łąp. Prychał jak bawół, a jego oddech cuchnął ściekami. Plastikowy miotacz wypadł Jimowi z dłoni; już nigdy nie miał poczuć w sobie sprytu i siły Doctora X. Stwór za jego plecami warknął tak blisko, że zawibrowała cała rama roweru. W świetle latarni Jim widział przerażający cień ramienia bestii sięgającego ku niemu długimi ostrymi pazurami.

Jim zjechał w lewo, przeskoczył brzeg kanału, przebił się przez zielsko i wpadł na chodnik. Przed sobą zobaczył hydrant, czerwony jak urodzinowy rower Jacka... Och, Jack, Jack, co się stało z Jackiem? Jim przemknął obok hydrantu i pognął środkiem ulicy. Jakiś samochód zatrąbił i skręcił, zjeżdżając mu z drogi – Jim zignorował gniewne krzyki. Pędził jak jego brat – wreszcie nauczył się porządnie jeździć na rowerze, a boczne kółka wyłamały się i odbijając od jezdni, odleciały w tył, bezużyteczne kawałki kauczuku.

Dom był tuż-tuż, o parę sekund... Jim gnał ostatnią prostą, z trudem łapiąc powietrze; lzy poziomymi strużkami płynęły mu po policzkach. Rower podskoczył na

krawężniku i zderzył się z białym płotem. Jim przekoziołkował nad kierownicą i wylądował ciężko na trawniku, z twarzą podrapaną wypieszczonymi krzewami mamy, w okularach, których nie trzymał już plaster.

W domu czekał pies. Chłopiec usłyszał kroki, otworzyły się frontowe drzwi, tato i mama zbiegli nerwowo po schodkach. Jim uświadomił sobie, że ciągle krzyczy, i to przypomniało mu o bestii. Po omacku znalazł obie połówki okularów i przytrzymał je przed oczami... Nic. Zbadał podwórze, spokojne domki sąsiadów, skrzynki pocztowe, klomby, zraszacze... Nie było żadnych potworów, ale pod stopami zauważył coś zupełnie innego: medalion z brązu na zardzewiałym łańcuchu. Wyryto na nim złowieszczy herb: straszną wyszczerzoną paszczę, nieczytelne znaki barbarzyńskiego języka i u dołu wspaniała miecz. Szloch zamarł Jimowi w piersi, kiedy po niego sięgnął.

– Jim! Co się stało?

To mama padła obok na kolana i strzepywała mu z uszu grudki ziemi. Tato podszedł zaraz za nią, przyklęknął, chwycił go za kolano i potrząsnął, żeby skupić uwagę syna. Powtarzali jego imię, raz po raz. *Jim*. Jakie to straszne, że nikt już nie nazwie go Jimbo. Nigdy.

– Synu, popatrz na mnie! – mówił tato. – Nic ci nie jest? Cały jesteś? Synu?

– Gdzie jest twój brat? – Chrapliwy szept matki sugerował, że już jakoś odgadła. – Jim, co się stało z Jackiem?

Nie odpowiedział. Pochylił się w bok, by spojrzeć poza plecy taty. Pozostał wgnieciony ślad na trawie, ale

medalion zniknął, jakby w ogóle go tam nie było. Ta nieobecność dziwnie zasmuciła Jima, a jeszcze silniejsze było uczucie, że zawiódł. Padł w ramiona rodziców, zapłakany i roztrzęsiony. Wiedział, że poznał właśnie naturę prawdziwego strachu i ból prawdziwej straty.

Jim Sturges był moim ojcem. Jack Sturges był moim stryjem. Historię, którą tu opowiedziałem, poznałem dopiero czterdzieści pięć lat od tamtych wydarzeń, kiedy sam miałem piętnaście. Wtedy się dowiedziałem, że wujek Jack był ostatnim dzieckiem zaginionym podczas epidemii kartonów z mlekiem, która zakończyła się równie nagle, jak zaczęła. Zniszczony sportcrest stał się rodzinną pamiątką, którą oglądałem setki razy. W wieku piętnastu lat odkryłem także, jak mój ojciec spędził kolejne dziesięciolecie, całą swoją młodość i większą część wieku dojrzałego: odwiedzał Holland Transit Bridge nocami, z latarką, szukając jakichś wskazówek co do tego, co się stało z jego starszym bratem. Nigdy nie znalazł żadnego śladu Jacka, poza kartonami po mleku, na których przedstawiono odważną, uśmiechniętą twarz Jacka pod słowem ZAGINAŁ.

To idealny sposób, by opisać mojego tatę w nadchodzących latach.